

WALTER SCHMIDT-HOESLER.

GLADYATOR

Nad Pompei wisi pałace słońce. Parne i ciężkie powietrze drży jak w piecu.

Na niebie ani jednej chmurki, ani wiaterek nie poruszy liści wysmukluch pinii, a przecież fale morza kłębią się, pienia w głębokiem, wewnętrzznem wzburzeniu.

Na ulicy nie widać ani jednego człowieka; w domach wszystkie drzwi pozamykane, velaria nad otwartymi dziedzińcami ściągnięte silnie. Wszędzie zwierzęta domowe pochowały się po kątach tylko od czasu do czasu zatrząsą łkownie ptak. Słońce rzuca pałace strzały na ziemię.

Tylko z Wezywiusza unosi się lekki dymek i Wzdłuż domów przesuwają się ostrożnie mężczyźni, wysoki smukły i ogląda się, nikt jednak nie widzi jedynego wędrowca, wszystko spoczywa w oszalałej drzemce w najdalszych, położonych ku północy pokojach! Młodzieniec znika u wejścia ogrodu bogatego Lucillusa i staje pod jednym z okien w cieniu grubego filaru.

Dwa, trzy razy nasładowuje głos ptaka i zaraz potem otwiera się zasłona z ciężkiego, perskiego jedwabiu i kobieta zjawia się w otworze; młoda żona senatora spoczywa w objęciach gladyatora — tylko wąska rama okna oddziela ich od siebie.

Przychodzi pożegnać się na zawsze, gdyż idzie umrzeć na placu areny. Dość długo zmagala się jego dusza w szalonej walce, siły jego osłabły i dobrowolnie wybrał śmierć.

Gladyator z zawodu, ujrzał z mieszkań niewolników przed miesiącami poraz pierwszy piękną kobietę, przechadzającą się u ramienia męża w ogrodzie, zapatrzoną w przestrzeń i obojętną, podczas gdy on gawędził z nią z uśmiechem.

Od tej chwili kochał ją, do szaleństwa, namiętnie, rozpaczliwie.

Matka jego była niewolnicą w domu Lucillusa. Codziennie odwiedzał ją, siedział godzinami przy maleńkiem okienku i wyglądał, aż z za płota, lub też w krążanku wynurzyła się kochana twarz. Potem szedł uszczęśliwiony do domu.

W cyrku ujrzał ją znowu. Gdy wszedł na arenę, wyprostowany, w lśniącym rynsztunku, uwydatniającym jeszcze doskonałą proporcję żelaznych członków, piękny i męski, jak młody Mars, zwinny jak pantera, pierwsze jego spojrzenie pobiegło ku pięknej żonie senatora.

Oczy ich spotkały się na jedną chwilę. Gigantyczna siła połączyła się z jego zapalem do walki, i tuż pod jej łóżem wbił swemu przeciwnikowi błyszczącą klingę w piersi.

Od tej chwili kochała go!

Wiedział to z pewnością, gdyż z pośród oklasków tysięcy widział jej spojrzenie, jedno spojrzenie wielkich, ciemnych oczu, które rozstrzygło o jego nędznym życiu. We śnie i na jawie widział jakgdyby przez zaczarowaną zasłonę ten wzrok, który mu ukradł duszę.

Nie kochała męża, nie mogła go kochać, tego bladego Rzymianina, o twarzy bez życia.

Matka opowiedziała mu historię swej pięknej pani. Biedna i bardzo młoda została żoną senatora — z wdzięczności, ponieważ ten uratował jej ojca i brata od śmierci, gdy ich podejrzewano, że brali udział w spisku przeciwko Cezarowi.

Udała się z nim potem do Pompei i żyła u jego boku z rezygnacją, gdyż szczęśliwa nie mogła z nim być.

Gdy dzika fantazja gladyatora przedstawiała sobie wspaniałą kobietę, gdy przewracał się bezsenność na łóżu, gdy widział przed sobą jej biały kark kapitolijskiej Juno, jej cudne ramiona i królewską postać — i gdy potem wynurzyła się przed nim obok niej postać jej małżonki, nędznego sybaryty, ukrywającego troskliwie chudą postać w fałdzystych szatach. wtedy ogarniała go gorzka niechęć przeciwko bogom, którzy go stworzyli tak wspaniałym; tak skończonym, niechęć przeciwko sobie samemu, że był tak słabym, i oddał się tak bezwolnie tej szalonej namiętności!

W czasie wielkich ofiar przed świątynią Wezwywiusza ujrzał ją znów. Przeniesioną ją obok niego

w otwartej lśniącej od złota lektyce pod baldachimem z jasno niebieskiego syryjskiego jedwabiu. Na ramionach uwiecznionych niewolników unosiła się w dal, wyniosła jak jakie bóstwo. Poznała w tłumie pięknego gladyatora i obejrzała się za nim.

Szedł jak śpiący za jej lektyką, podobnie jak delfin płynie śladem jadącego okrętu. — Ona zaś uśmiechnęła się i ciemnoczerwona róża upadła na jego drogę. Podniósł ją i patrzył za nią a policzki jego pały jak płatki kwiatu.

W najodlegleszej części parku, przed marmurową ławką, podczas gdy mąż zabawiał się na uczcie, leżał pierwszy raz u jej nóg.

Więcej niż śmierć nie mogła go przecież spotkać za tę śmiałość. Żył jednak dalej: — A nad nimi bez rozłączal słodki i oszalał zapach a słowik śpiewał tęskną pieśń o nadziejskiej szczęśliwości i tajemniczej, niebezpiecznej rozkoszy.

Była ona jednak kobietą z zasadami, rzadkość w ówczesnym Rzymie.

I ona kochała go gorąco, namiętnie, jak on ją, całą delikatnością pierwszej miłości, nie złamała jednak przysięgi małżeńskiej wierności.

A on cierpiał, dziko i namiętnie i wszystkie jego myśli wypełniał jeden jedyny sen pełen zuchwałych, namiętnych pragnień, które nie mogły spodziewać się spełnienia. Nieszczęśliwy wiedział, że jej serce należało jedynie do niego, najpiękniejszego gladyatora w Pompei; piękność jej była jednak nienaruszoną własnością jej męża. Ten podział wydał mu się niesprawiedliwym, bezmyślnym i dręczył go jak gdyby ustawiczne tortury.

Podobny był do ginącego z pragnienia wędrowca, który widzi źródło bijące ze skały, do którego nie ma wcale drogi!

Oboje nie myśleli o końcu swego potajemnego szczęścia. Wtem los rozrywa ich, szybko i na zawsze. Za parę dni jedzie senator z żoną do Rzymu, gdzie cesarz powierzył mu wspólny urząd. Dom w Pompei będzie sprzedany, nie zobaczy jej już więcej.

Wiedzy, w szalonej rozpacz, zgłosił się w cyrku jako przeciwnik Dardanusa, olbrzyma germańskiego, któremu nikt jeszcze nie sprostał. Jest to pewien rodzaj samobójstwa, które wybiera, by uwolnić się na zawsze od tych mąk Tantala.

I dzisiaj przychodzi, aby pożegnać się na zawsze, zanim odejdzie, i da się uwiecznić, na śmierć jak zwierzę ofiarne.

Ona również nie znieśli rozdzielania, zbiera ją wstręt przed przyszłością u boku niekochanego męża. I wśród gorących łez przysięga mu, że podzieli jego los.

Nie pójdzie dziś do cyrku, jej rozdarte serce zdradziłoby ją, ale wśród samotnej nocy, złoży cieniem młodzieńca ostatnią ofiarę, zażyje truciznę, którą jej ojciec przywiózł z Afryki.

Razem zejść do Tartaru!

Pałac poczynają się ożywiać. Wkrótce zapadnie wieczór i pod kolumnami perestylu zjawiają się niewolnicy, czekając na spiekocie godzinami z irackim zaprzęgiem na pana.

Rużaki jednak nie grzebią ziemi, nie rżają radośnie jak zwykle. Znużone zwisają ogony szlachetnych zwierząt na pstrą mozaikę przedśionka, tylko nożdrza drżą jakby w bojaźliwym kurczu; czasem zarzy któryś głośno, by zapaść potem znów w nieme znużenie.

Gladyator wymyka się z domu. W bramie przyciska płonące czoło do rozpalonej ściany kamiennej. Gorące krople perla się na czarnych włosach. Poza zamkniętym oknem słońce młoda Rzymianka zaciskając kurczowo ręce w fałdach firanki, a łzy toczą się bezustanku po jej twarzy. Cała groza zbliżającej się śmierci otacza jej udręczoną duszę.

Niewolnice znajdują panią omdlałą na jedwabnych poduszkach złoconego łóża.

W małym zakątku w przejściu, prowadzącym na arenę, gdzie zapaśnicy zbroją się do krwawej walki, siedzi na drewnianej ławce młody gladyator, bladej jak śmierć, z nawpół zamkniętymi oczyma. — Całe jego ubiegłe życie przesuwają się przed nim jak cień.

Żnój i walka — bez nagrody, bez celu. Ani godziny zadowolnionej szczęśliwości. I dziś ma się to skończyć! Podnosi się powoli, bada hełm

i broń i utwierdza pierścienie na okrągłej tarczy. Następnie wkłada lekki napierśnik na nagie ciało.

Cała ta pełnia świeżej młodzieńczej piękności, regularnej i nienaganej, jak figura boga z greckiego mytu będzie za parę godzin nieżywa i okrwawiona wleczona przez ordynarne ręce do spaldarium.

Taki jest koniec.

Gorzki uśmiech drga na jego ustach.

Gorąco w ciasnej przestrzeni staje się nieznosnym. Otwiera drewnianą okiennicę, lecz powietrze z zewnątrz wdiera się jak samum.

Nad nim trzeszczy wielki płócienny dach, rozciągnięty na linach ponad areną. Zdała szumi huczy gwar widzów, wypełniających siedzenia amfiteatru.

Wtem krótkie wstrząśnienie targa ziemią. Młodzieniec zatacza się i pada! — Spżowy hełm z hałasem toczy się w kąt a z cyrku dolatuje krzyk tysiąca głosów.

Drugie wstrząśnienie, jeszcze gwałtowniejsze od pierwszego, któremu towarzyszy zdała głuchy trzask walących się budowli.

Przez kilka sekund ziemia chwieje się falistym ruchem, głośnie, wstrząsając duszą krzyki rozbrzmiewają po ulicach a z krateru wulkanu wypływa czarna chmura, wznosząc się prostopadłe do góry, rozpiera się w powietrzu jak kora olbrzymiej pinii, żółte i czerwone promienie błyskają w niej jak węże a fala popiołu i dymu zaciemnia w kilku minutach niebo i ziemię.

Jest to koniec świata, koniec wszelkiego życia! Zrywa się i wybiega na ulicę. Rozpalony popiół spada gęstym deszczem na jego ramiona i odkrytą głowę. Wraca z powrotem, podnosi łarczę z ziemi i trzyma ją jak ochronny dach ponad sobą.

A potem padzi jak szalony, poprzez dymiące gruzi i rżące trupy! Napierśnik przeszkadza mu, odrzuca go i spieszy wśród wzrastającej coraz bardziej ciemności, nie zważając na nic, obojętnie, aż ujrzał przed sobą dom Lucillusa. Trąca drzwi ogrodu i wpada przez dobrze znaną altanę przed okno ukochanej. Wskakuje do środka i widzi przed brązową statua Jowisza uroczą postać, drżącą z trwogi. Kobieta przybiegła doń i rzuca się na jego pierś!

Wtem chwieje się dom w posadach, jakby podnoszony niewidzialnymi rękoma, z głośnym trzaskiem padają granitowe kolumny, zawałając kamiennymi złomami niskie okno.

„Razem umrzeć“ jest jedyną myślą obojga. Wszelkie więzy zwyczajów pękły, wszelkie tradycje, wszelkie różnice stanu zamieniła jakaś demoniczna siła w przerażający chaos. Młodzieniec zapala z gorączkowym pośpiechem metalową lampę, stojącą u wezgowia łóża. Marmurowa Afrodyta wydaje się jak żywa w blasku światła i podnosi zachęcająco białe ramiona!

Przyciska ukochaną do piersi, a ona obejmie rękoma jego szyję i wargi ich spotykają się w długich, namiętnych pocałunkach. Potem uwalnia się z jego objęć, bierze małą kryształową flaszeczkę, w której znajduje się śmiertelny płyn, wystarczający dla nich obojga i kładzie ją na miękkie poduszki łóża.

Młodzieniec upada bez słowa do jej stóp, a jej drżące ręce obejmują kurczowo czarnowłosą głowę ukochanego!

Na dworze szaleje zniszczenie, cienkie chmury siarkowego dymu wciskają się przez szpary gruzów do pokoju, dalekie krzyki rozpaczliwych legają się wśród nieprzeniknionej nocy i słychać głuchy, grzmiący hałas wulkanu.

Nad Pompei zamisła zguba jak niegdyś nad grzeszną Sodomą!

Oboje jednak nie słyszą już tego!

I po tysiącu przeszło latach znaleziono ich znowu, złączonych w zasypanym grobie, pięknego gladyatora i dumną patrycyuszkę. Na skórze tygrysię przed niskim łóżem próżna flaszeczka pokryta artystycznymi gemmami i kamieniami.

W pokoju wszystko rozrzucone i zwalone, w posadzce podłogi szeroka szpara, i tylko u głów umarłych na marmurowej podstawie dumnie i wysoko jak zwycięzca stoi tajemniczo wspaniała statua Afrodyty!

K O N I E C.